

Krystyna Duda-Dziewierz

Kiedy będziemy znali Oświęcim? : "Dymy nad Birkenau", "Z otchłani", "Śmierć liberała" : ze wspomnień i dyskusji obozowych

Przegląd Socjologiczny Sociological Review 10, 466-484

1948

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Nowa, socjalistyczna moralność jest podporządkowana interesom walki klasowej mas pracujących i z nich wynika.

Wszelka moralność wypływająca z pozaludzkich, poza klasowych przesłanek jest oszukiwaniem mas pracujących, jest próbą spętania ich walki wyzwoleniczej, próbą poddania ich w imię rzekomych pozaludzkich, pozaklasowych ideałów w niewolę i wyzysk obszarników i kapitalistów.

...Nienawidzimy ucisku i niewoli, nienawidzimy tych, którzy uciskają i niewolą, tych, którzy wyzyskują i mordują.

Milujemy tych, którzy razem z nami walczą o szczęście ludzkości. Wiemy, że nie można stać z boku. Jesteśmy w walce. Być neutralnym, to znaczy być współnikiem zbrodni.

Historia uczy nas tego wielkiego prawa, które mówi, że klasa upadająca cpiera się na kłamstwie i na duchowym rozkładzie, zaś klasa młoda — na prawdzie, bohaterstwie i wielkości". („Pokolenie” — 1—15 października 1948 r., nr 5).

Odpowiedniego materiału dostarczyć mogą także: tygodnik ZMP „Pokolenie” oraz miesięcznik instruktorski ZMP „Razem do pracy”.

Na zakończenie powiedziec należy, że ani dyskusja o młodzieży, ani zagadnienie masowego ideowo-wychowawczego ruchu młodzieżowego nie tylko nie należą do spraw zakończonych, ale wykazują stałą dynamiczną i nie słabnącą doniosłość we współczesnym życiu Polski Ludowej.

KIEDY BĘDIEMY ZNALI OŚWIĘCIM?

„DYMY NAD BIRKENAU”. „Z OTCHŁANI”. „ŚMIERĆ LIBERAŁA”.

Ze wspomnień i dyskusji obozowych.

przez Krystynę Duda-Dziewierz (Łódź)

Czy można to nazwać dyskusją? Czy jest to właściwe określenie dla tych różnych wypowiedzi, które bądź to same są wspomnieniami z obozów niemieckich, bądź wspomnień tych dotyczą? Dyskusję jako formę intelektualną międzyludzkiego obcowania zalicza się zazwyczaj do wielkich zdobyczy cywilizacji. Dla tego ta „dyskusja” jest czymś wyjątkowym, osobnym. Nie dotyczy ona jakiegoś fragmentu stabilizowanej intelektualnej struktury cywilizowanego świata. Wprost przeciwnie. Zaczyna się od tego, że czujemy jak załamała się cała społeczno-moralna struktura tego cywilizowanego świata, który uważaliśmy za najwyższy twór człowieka.

Przerażające były rozmiary mordu. Przerażające było stosowanie naukowych metod w masowym mordowaniu ludzi. I ta niemiecka systematyczna oszczędność zastosowana do celowego, racjonalnego wykorzystywania mordowanych: ich tłuszczu, skóry, kości, włosów. Aby się nie zmarnował ani jeden złoty zęb, mogący się przyczynić do zwycięstwa „Wielkich Niemiec”.

Jesteśmy w muzeum oświęcimskim. „Rzeczy najcenniejsze wywozili Niemcy natychmiast w głąb Rzeszy, resztę wywożono w momencie ewakuacji, a co jeszcze pozostało rozgrabili szabrownicy w okresie smutnej pamięci interregnum w Oświęcimiu.

A przecież jeszcze te resztki nagromadzone w salach muzeum stanowią dokument historyczny o największej sile wymowy. Sala pierwsza szczotki do zębów, całe stopy szczoteczek do zębów. Dalej nożyczki, pudełka do pasty do obuwia z napisami we wszystkich językach Europy, aparaty i pędzle do golenia, puste walizki itd. Całe piętro jednego bloku zajmują buty, olbrzymie sterty butów, na które gdzie niegdzie wchodzić trzeba po drabinie. Najwymowniejsze są stoiska zawierające stopy dziecinnych ubranek i protezy oderwane kalekom niszczone w komorach gazowych. Dowód — jakich to niebezpiecznych wrogów III Rzeszy likwidowano milionami w komorach gazowych Oświęcimia. Osobną salę zajmują włosy obcięte wymordowanym kobietom. Oglądamy tylko resztki zapasów włosa ludzkiego. Władze niemieckie wykorzystywały ten materiał dla robienia materaców, później wojsko tutaj kwaterujące paliło tym w piecach. Pozostało tylko około 2.000 kg włosa ludzkiego”¹⁾

Okrucieństwa hitleryzmu dobrze są w Polsce znane. To nie jest problem intelektualny. To jest element naszego powszechnego doświadczenia z czasów okupacji. To jest nasza **wulgarna wiedza** o wojnie i o niemieckiej okupacji. To jest także nasza wulgarna wiedza o cywilizowanym człowieku, o tym samym, co kiedyś niósł z Zachodu na Wschód wiarę chrześcijańską i — cywilizację.

„Ze względu na daleko posunięte oszczędności gazu małe dzieci ulegają paleniu żywcem. W tym celu zostają od razu oddzielone od starszych i prowadzone osobno. Któregoś dnia spod samego krematorium wymyka się pilnującym SS-manom mały, pięcioletni może chłopczyk i biegnie, całym wysiłkiem nówek z powrotem wzdłuż rampy. Dokąd mógłby dobiec, gdzieżby się schronił?”²⁾

„Oto znów nadjechał transport. Jest noc. Ognie krematoryjne i płonące na rampie śmiecie, oblewane naftą i podpalane, jakby dla wzniecenia większej ilości płomieni wśród nocy, oświetlają huczące gwarem obozowisko. Goniec biegnie do bloku orkiestry z rozkazem przyjścia pod bramę. W ciemnościach zostawiono pulpity, ruchliwe blaski płomieni oświetlają nuty.

Rozpoczyna się nocny koncert. Przy wagonach krzyki SS-manów, jęki bitych, płacz dzieci — a na tym tle melodia hiszpańskich tańców, tęsknych serenad, sentymentalnych piosenek... niezmienny obraz pochodu ludzi sunących naprzód, pochylonych, z twarzami oblanymi łuną czerwieni...

— Powiedzcie — mówi ktoś gwałtownym szeptem — jak to się dzieje że my nie dostajemy obłędu, że nie szalejemy od tego, na co patrzymy?

¹⁾ Stanisław Stomma: *Problem Oświęcimia* „Tygodnik Powszechny” z dnia 6 lipca 1947 r. str. 4. Patrz także Zofia Zorecka: *Wiedza oświęcimska*. „Odra”, 29. VIII. 48 r.

²⁾ S. Szmagłewska: *Dymy nad Birkenau*, str. 226.

— Widzisz, nie wiadomo, czy my już nie jesteśmy anormalne, skoro możemy jeść, spać, pracować wobec tego wszystkiego. Skoro możemy mówić, a nawet uśmiechnąć się, wobec takiej żałoby. Skoro nie rzucamy się na druty lub na SS-manów z gołymi rękami choćby. Kto wie, może to już obłąd¹⁾).

Zatriumfowała **wulgarna wiedza** o człowieku. Zatriumfowała ta wiedza, według której człowiek jest bydlęciem zdolnym do wszystkiego, co najgorsze. Zatriumfowała ta wiedza, dla której nie ma żadnej intelektualnej problematyki ludzkości, nie ma żadnego moralnego problemu człowieka, nie ma zagadnienia formy bytowania, gdyż w ogóle nie ma zagadnienia człowieka.

Czy odtwarzanie i utrwalanie okrucieństw hitleryzmu i okupacji niemieckiej nie staje się upowszechnianiem tej wiedzy wulgarnej? Czy nie przekonuje o absolutnym upadku człowieka? Dla ludzi, którzy nie zwątpili w świat ludzki, którzy nie stracili wiary w jego lepszą przyszłość, powstał problem ujęcia we właściwą formę tego okrutnego doświadczenia — w formę intelektualną, moralną, artystyczną.

* * *

Pierwsza bezpośrednia reakcja na te doświadczenia — to oskarżenie. Oskarżenie Niemców za ich bestialstwo, za degradację człowieka. Oskarżenie straszego systemu i tej cywilizacji, która go zrodziła. Oskarżenie! Ale w imię czego? To bezpośrednie oskarżenie było odruchowe bezrefleksyjne. Była to reakcja elementarnego poczucia człowieczeństwa. Oskarżał prosty człowiek, który w stosach trupów Oświęcimia czy Majdanka, zostawił kogoś ze swojej najbliższej rodziny.

Czy tamci nie mieli swoich rodzin? Czy ci oprawcy, którzy wprowadzali w ruch te wielkie fabryki śmierci nie doznawali tych samych uczuć wobec swoich dzieci, równocześnie skazując na śmierć dziesiątki tysięcy innych dzieci? Rudolf Hoess, komendant obozu w Oświęcimiu, był bardzo dobrym ojcem. Nie wykazywał nawet specjalnych cech osobistego okrucieństwa. Był żołnierzem Hitlera, bezwzględny wykonawcą rozkazów. Wykonawcą dokładnym, skrupulatnym, pedantycznym. Gdy mu zarzucano w oskarżeniu, że jest winnym zamordowania 4 milionów ludzi, poprawił, że według jego obliczeń — tylko półtora miliona, a według innych dokładnych — 2½.

Czy można być tklivym ojcem dla swoich dzieci, a bestią dla innych? Czy można się tak odizolować duchowo od mordowanych przez siebie ofiar, żeby swój własny świat „rodzinny” zabezpieczyć przed tamtym potępionym światem obozu? Czy wreszcie można oskarżać ten system bestialstwa w imię samych uczuć rodzinnych, jeżeli po obydwóch stronach — i oprawcami i ofiarami — byli dobrzy ojcowie i „porządni ludzie”? Nie było by problemu, gdyby oprawcami byli sami zwyrodnialcy, a więźniami sami „porządni” ludzie. W tym właśnie tkwi cały problem, że i tu i tam było wielu „porządnych”, bardzo

¹⁾ S. Szmagłewska: *Dymy nad Birkenau*, str. 229.

„porządnych”. Byli porządni ludzie wśród oprawców i byli porządni wśród tych więźniów, którzy w obozowym systemie awansowali na „capo”. Czy przedwojenny „porządny człowiek” sędzia Kossecki z „Popiołu i diamentu” Andrzejewskiego był wyjątkiem?

„Wielką zasługą procesów przeciwko zbrodniarzom wojennym jest to, że odsłoniły w całej jaskrawości fakt, jak niewielkiej ilości zbrodniczych jednostek potrzeba, żeby wytracić miliony ludzi rękami tych, co nie są ani dobrzy ani źli — są po prostu bierni i w sprzyjających okolicznościach mogą się stać jednymi i drugimi.”¹⁾

„Nie ma bohaterów, są tylko sytuacje bohaterskie” — mówi partyzant w noweli Sandauera. A na to inny odpowiada: „Odwrotność tego twierdzenia sprawdza się na mnie. Są tylko sytuacje upadające, nie ma...”²⁾

Nogaj w pamiętniku z Gusen opisuje, jak na rozkaz strażnika niemieckiego więźniowie topią w beczce jeden drugiego, chociaż dobrze wiedzą, że ich to nie ocali i skolei ten, co topi też nie uniknie takiej samej śmierci. Wiąz solidarności łącząca więźniów zostaje tu doszczętnie zerwana.

Przeżycia więźniów obozowych dostarczają bogatego materiału rzucającego wiele światła na procesy rozrywania się i nawiązywania więzi społecznej w jej najbardziej elementarnych postaciach, dotyczących samej społecznej istoty człowieka i człowieczeństwa. Szczególnie uderzające są pod tym względem opisy, w których jaskrawo występuje zależność więzi społecznej od pewnego poziomu życiowego, od sytuacji materialnej, zaspakajającej najbardziej elementarne potrzeby jedzenia i bezpieczeństwa życia. Krańcowe formy głodu rozrywają wszelkie więzi społeczne — odspołeczniają i równocześnie odczłowieczają ludzi.

Głód i szykany uniemożliwiające zaspakajanie najbardziej elementarnych potrzeb fizjologicznych a wreszcie ustawiczny strach i trzymanie ludzi w ciągłej niepewności życia stanowiły istotne elementy obozowej socjotechniki, jaką hitleryzm świadomie stosował po to, aby ludzi pozbawić wszelkiej więzi społecznej, rozerwać między nimi wszelką solidarność moralną, odspołecznić ich, a tym samym odczłowieczyć.

Posłuchajmy rozmowy między dwoma więźniami.

„...drugiego syna powiesiłem w Poznaniu, ale nie za ręce, tylko za szyję, bo ukraść chleb.

— Bydłę! — wybuchnąłem”.

A na to drugi rozmówca:

„Jak długo siedzisz w obozie?

— O... parę miesięcy.

— Wiesz, Tadeusz, bardzo ciębie lubię — rzekł niespodzianie — ale ty głodu to tak naprawdę nie zaznałeś, co?

¹⁾ Eugenia Kocwa: *Zło anonimowe*. „Tygodnik Powszechny” z dnia 25 lipca 1948 r. str. 9.

²⁾ A. Sandauer: *Śmierć liberala*. str. 100—101.

— Zależy, co to jest głód.

Głód jest wtedy prawdziwy, gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka jako na obiekt do zjedzenia”.¹⁾

A oto inna wypowiedź z tej samej kategorii granicznych przeżyć społecznych:

„Podniosłam oczy i znieruchomiałam. Naprzeciw mnie siedziała jedna z więźniarek i jadła chleb. Zamknęłam oczy by nie patrzeć, lecz prędko otworzyłam je znów: nie potrafiłam nie patrzeć. Widziałam jak zęby rwały ochoczo wielkie kęsy, jak zagłębiały się w nie chciwie wystające, chude szczęki poruszały się zawzięcie. Usłyszałam młsańście językiem... Zamknęłam znów oczy, ale widziałam dalej. Zaciśnięte powieki stały się przezroczyste, patrzyłam przez nie: widziałam ciągle ten chleb, jego brunatną, lśniąca skórka, zbitą masę ośrodka... Ostry, przejmujący zapach podrażnił me nozdra, ślina napłynęła do ust. Skąd ona ma ten chleb, pomyślałam, skąd ona ma tyle chleba...

I nagle poczułam coś niesamowitego. Uświadomiłam sobie, że nienawidzę tej kobiety, koleżanki, więźniarki z całej duszy... Za ten chleb. Podniosłam powieki i popatrzyłam na nią. Napotkała mój wzrok i musiała znaleźć w moich oczach coś, co ją przeraziło. Drgnęła jakby złapana na gorącym uczynku. Ugryziona kromka pozostała na chwilę nieruchoma, zaczepiona o półotwarte usta. Kobieta przestała jeść, ukryła chleb w szerokiej dłoni, wstała. Za chwilę znikła w tłumie więźniarek.

W tym momencie dopiero rozumiałam, że stało się coś straszego. Znienawidziłam człowieka równie głodnego, równie nieszczęśliwego jak ja, za to że posiadał kawałek chleba. Ogarnęło mnie uczucie dotkliwej samotności. Ktoś ode mnie odszedł, ktoś mnie opuścił, ktoś, kto był mi towarzyszem, podporą, pociechą. Traciłam grunt pod nogami, ściany rozsuwały się i topniały pod dotknięciem mych rąk szukających oparcia, pustka otwierała się przede mną...

Lebendige Leiche... Nędza i brzydota. Tkwiłam w środku tej nędzy i tej brzydoty, byłam ich częścią. Wierzyłam do tej pory, że w tej nędzy i brzydocie jest wielkość uświęcająca je, wielkość człowieka cierpiącego dla idei, dla sprawy, człowieka plugawionego, hańbionego a zawsze promieniejącego swym człowieczeństwem jakby ktoś światło lampy usiłował przesłonić strzępem brudnego papieru — napróżno, promienie przebijają tłumiącą je warstwę wyzwalając się triumfalnie choć przyćmione... Jakiś sędzia nieubłagany mówił mi, że owo światło we mnie zgasło, udział w wielkości przepadł, nędza i brzydota zostały, trwanie straciło sens. W tej chwili, w której potrafiłam znienawidzić człowieka za kawałek chleba, Niemcy odnieśli nade mną ostateczne zwycięstwo wtedy gdy bili mnie, kopali, znieważali, byłam ciągle nad nimi, nie pokonana, nie ujarzmiona, patrzyłam na nich z pogardą z wyżyn swego człowieczeństwa, swej kultury. Teraz dopięli swego celu. Teraz naprawdę utraciłam wolność”.²⁾

¹⁾ T. Borowski: *Pożegnanie z Marią*, str. 51.

²⁾ Henryka Kołodziejczyk: *Chleb* (Opowiadanie). „Tygodnik Powszechny“ z dnia 9 maja 1948 r. str. 5—6.

Nie pierwszy to raz zwrócono uwagę na to, że więźniowie tworzą „społeczeństwa”. Przed kilkudziesięciu laty wyszła książka W. Doroszewicza p. t. *Sachalin* (tłumaczenie polskie Zenona Pietkiewicza, Warszawa 1901 r.) wspaniały opis społeczeństwa katorżników. Mądrość tamtego społeczeństwa mówiła, że „do wszystkiego podłego człowiek może się przyzwyczaić...”¹⁾.

„Oświęcim było to wielkie, ponad sto tysięcy ludzi liczące miasto, w którym toczyło się życie społeczne, złożone z tych samych zasadniczych elementów, z jakich składa się życie społeczeństwa kapitalistycznego na wolności. Były tedy klasy społeczne uprzywilejowane i klasy upośledzone: **arystokracja obozu**, rekrutująca się nie tylko z tzw. prominentów, bandytów, jak kapowie i blokowi, ale w ogóle ze „starych numerów”, którzy mieli za sobą trzy — cztery lata Oświęcimia; była to klasa korzystająca ze szczególnych, choć nie pisanych praw, nieliczni jej członkowie popierali się solidarnie na każdym kroku. Drugą kategorię — **burżuazję** — stanowili więźniowie zamożni, którzy dochodzili do bogactwa drogą wielkiego handlu oświęcimskiego. Handlowali dolarami i złotem, spirytusem i tekstyliami, żywnością i przedmiotami zbytku — i tą drogą osiągnęli przywileje i lepsze warunki bytu. Było **drobne mieszczaństwo**. Tworzyli je ci, co otrzymywali obfite paczki z domu, funkcyjni niższych stopni, drobni „kupcy obozowi”, rzemieślnicy (głównie szewcy i krawcy). Był wreszcie **proletariat** — doły oświęcimskiego społeczeństwa — który miał tylko prawo do ciężkiej pracy, głodu, zimna, wszy i zdychania.

Było to, oczywiście, społeczeństwo szczególne, bo żyjące i walczące o byt w jedynych na świecie warunkach — karykatura społeczeństwa. Ale nie tylko podział klasowy nadawał temu społeczeństwu cechy normalnego społeczeństwa kapitalistycznego: była też walka klas, był awans społeczny i dało się zaobserwować staczanie się do niższej klasy. W społeczeństwie oświęcimskim było miejsce nie tylko na pracę, głód, cierpienie i śmierć, ale także na miłość i rozpustę, na heroizm i tchórzostwo, na politykę i handel, na przyjaźń i protekcjonizm, na twórczość artystyczną, mecze sportowe i grę w bridża...”²⁾.

Społeczeństwo katorżników na Sachalinie także miało swoją hierarchiczną strukturę. „Katorga dzieli się na cztery kasty: 1) Iwanów, 2) Chrapów, 3) Graczów i 4) Nieszczęśliwą „szpankę”.

Jest to arystokracja i demokracja katorgi, klasy rządzące i masy podległe, patrycjusze, plebejusze i niewolnicy

Iwany — to złe, to zaraza, to bicz katorgi. Jej despoci i tyrani.

Iwan zrodził się pod różgami, batem ochrzczony, wzniesiony do godności **Iwana** ręką oprawcy...

Straszny zbój, katorżnik długoterminowy, który nic nie miał do stracenia i żadnych nadziei. Wyrażał on swój protest w imieniu tej całej zgębionej,

¹⁾ W. Doroszewicz: *Sachalin*, T. III, str. 29.

²⁾ Henryk Korytyński: *Kiedy będziemy znali Oświęcim?* „Odrodzenie” z dnia 24 sierpnia 1947 r. str. 2.

przybitej i odartej katorgi. Protestował śmiało i zuchwale — przeciwko wszystkiemu: karom niesprawiedliwym, robotom zadany nad siły, jadła lichemu i wreszcie przeciwko tym śmiesznym, dziecinnyim kurtkom, które dawano skazańcom jako „ubranie według wzoru uprawnionego”. **Iwan** nie milczał przed żadną władzą. Protestował śmiało, zuchwale na każdym kroku. **Iwanów** przykuwano do ściany, do taczek, zakuwano w kajdany ręczne i nożne bito „komłami” i batami. Uderzenia tymi ostatnimi liczono po parę tysięcy, w biciu zaś różgami tracono zupełnie rachunek.

Wszystko to otaczało ich aureolą męczeństwa. Wywoływało szacunek.

Władza ich biła i bała się zarazem. Byli to ludzie, którzy się nie wahałi w każdej chwili wbić noża pod żebro, którzy temu, co ich obraził roztrzaskiwali głowę kajdanami ręcznymi.

Byli oni wtedy czymś w rodzaju „orderu rycerskiego”, „ludźmi co słowa dotrzymują”. „Powiedział, a więc spełnił”!

Stary „Iwan” Pazulski, słynny niegdyś na Południu ataman band rozbójniczych, dał w Chersonie słowo, że zarznie pomocnika inspektora więziennego za krzywdę od niego doznana, następnie uciekł, był poznany, po dwu latach dostał się do więzienia chersońskiego i dotrzymał słowa: zarznął.

Takie czyny wywołały obawę, strach przed „Iwanami”.

Groźni dla inspektorów i dozorców, ci ludzie, zdecydowani na wszystko, byli także groźni i dla katorgi.

To byli jej despoci, tyrani, rabusie.

Iwan prosto, otwarcie, wobec wszystkich, zabierał katorżnikom ostatnie ciężką pracą zdobyte okruchy i natychmiast w oczach gospodarza przepijał, przegrywał, przeschrowywał je i nie znosił żadnej nagany.”¹⁾

„Chrapy” jest to druga kasta katorgi.

Chcieli być **Iwanami**, lecz brak im odwagi. Ze względu na swoje tchórzostwo powinni by należeć do „szpanki”, ale miłość własna nie pozwala.

„Chrapy” nie zasługują na to, ażeby o nich długo mówić. Są to tacy sami krzykacze, jak na zebraniach gminnych. Gdy w więzieniu zdarzy się jakiś wypadek, „zamieszka”, „Chrapy” zawsze wychodzą naprzód najczęściej gardlują, krzyczą, przemawiają. Słowami gotowi są wszystko do góry przewrócić. Ale gdy przychodzi do „rozprawy” i pojawi się władza, milkną i znikają w tylnych szeregach... Nazwa „chrap” jest lekko żartobliwa. Pochodzi od słowa „chrapać”. Tym się określa ich działalność: „Chrapiają” na wszystko. Nie ma takiego rozporządzenia, które oni uważaliby za właściwe. Są ciągłymi oponentami. Wszystko, zdaniem ich, niewłaściwe, nieprawne, niesprawiedliwe. Wszystko ich oburza. Czy to zadadzą komu roboty, chociażby nie- zbyt ciężkie, czy posadzą do kozy, chociaż słusznie, czy nie umieszczą w szpi-

¹⁾ W. Doroszewicz: *Sachalin*, t. II, str. 140—148.

talu człowieka nawet zdrowego zupełnie, „chrapy” zawsze krzyczą (naturalnie poza władzą):

— To niesprawiedliwość!”

„W katordze, gdzie się wszystko sprzedaje i kupuje, i to bardzo tanio, człowiek, który ma pieniądze, musi wpływ wywierać.

Gracze, poza grą niczym innym się nie zajmują. Wszyscy są szulerzy. Kiedy dwu takich zasiada, jest to tylko turniej szulerski. Jeżeli ktoś z boku, broń Boże, zawoła: „ależ on szachruje!” turmą zbije go śmiertelnie:

— Nie wtrącaj się do nie swego!

Gracz, który jest niezwykle zręcznym szulerem, nosi zaszczytne imię „majster”.

Przy graczu żywi się tak dużo ludzi, że musi on mieć powagę i znaczenie. Nigdy nie spełnia robót katorżnych; najmuje za siebie „sucharnika”. Nadto ma zawsze „poddawałę”, czasem nawet kilku, którzy sprzątają i ścielą mu pościel na tapczanie, chodzą po obiad, zaparzają herbatę...

Całe to otoczenie gracza stanowi jego partię, która w każdej chwili może się za nim ująć i poprzeć go we wszystkich sprawach. Może on zmieniać postanowienia zgromadzeń więziennych, gdyż ma za sobą zawsze dużo ludzi. Niebezpiecznie z nim zadzierać. Gdy każe zbić, to zbiją. Trzeba go zjednywać pochlebstwem, usługami, bo gdy każe przebaczyć, to przebaczą.

To też gracze panują, dopóki mogą. Znęcają się nad towarzyszami. Nieprzebrane mają pomysły nękania ludzi...

Źle wszakże, gdy gracz zgra się w końcu i zostanie **żyganem**. Taką nazwę nosi w katordze w ogóle każdy człowiek ubogi, który nic nie ma, ale szczególnie gracze, którzy się zgrali doszczętnie.

Wtedy dopiero katorga usiłuje powetować wszystko. Nie ma miary, nie ma końca znęcania się nad człowiekiem, pozbawionym wszystkich swoich przyjaciół, wielbicieli, obrońców, pochlebców, sług pokornych. Katorga wtedy nie oszczędza i nie ma litości.

Gdy „żygan” przegrał już wszystko, pieniądze, ubranie, pracę swoją za cały rok naprzód, porcję chleba za kilka miesięcy także naprzód, wtedy z nim grają albo o miejsce na tapczanie, albo o „bałandę”. Ani jedno, ani drugie nikomu nie jest potrzebne. Grają wszakże tylko dlatego, ażeby upokorzyć.

— Niech cię diabli! Zagram z tobą, psie! Albo trzy kopiejki, albo trzy dni będziesz spał na podłodze... Albo trzy kopiejki twoje, albo z głodu zdychaj! Tydzień bez bałandy, bez picia, bez żarcia siedź!...

Za niepłacenie turma „nakrywa ciemną”, tj. bije bez litości, przy czym biją wszyscy, nawet ci, którzy w grze nie brali udziału...

Szpanka jest to stado Panurga, zgnębiona masa katorgi, jej plebs, pozbawiony praw. Są to ci włościanie, którzy „przyszli” za zabójstwo w nietrzeźwym stanie, podczas bójki w dzień świąteczny; są to ci zabójcy, którzy popełnili prze-

stępstwo z głodu, z popędu surowej natury; są to ofiary niesnasek rodzinnych, nieszczęśliwi mężowie, którzy nie zdołali zbudzić u swych żon gorącej miłości dla siebie. Są to ci, których przygniotło spadające nieszczęście. Jedni cierpliwie niosą swój krzyż, innym zabrakło siły, odwagi i zuchwalstwa do zdobycia sobie pewnego stanowiska „w turmie”. Są to ludzie, którzy odbywszy karę, mogliby znów stać się uczciwymi i pracowitymi obywatelami kraju.

Dlatego **Iwan, chrap, gracz**, i nawet nieszczęśliwy **żygan**, mówią o **szpance** z wielką pogardą.

— Czyż to aresztanci?! Tak sobie od sochy wzięci na pewien czas!).

Prawdziwa katorga, jej **czoło: Iwany, chrapy, gracze i żygany**, śmieją się ze **szpanki**.

— Czyż on nawet rozumiał, co robił?

Zupełnie szczerze nie poczytują ich za ludzi.

— Jakiś to człowiek? Jak bobak, zwinie się i śpi.

Ludzie ci, zawsze głodni, mają dwa zajęcia: pracują i śpią. Wąтли, źle odżywiani, lichy odziani i obuci, przychodzą spracowani i „jak bobaki” kładą się spać. Tak ich całe życie płynie.

Szpanka pokorna, więc spełnia najcięższe roboty. Uboga, więc jej dozorca żadnych ulg nie daje. Zgnębiona i cicha, a więc ci, którzy się boją zadzierać z **Iwanami**, są wielcy i straszni, gdy mają do czynienia z **szpanką**. Wtedy — „**niegodziwiec**” jak grom rolega się powietrzu. „Zabiję!” „zgnoję” — padają pogróżki.

Szpanka to są ci, którzy śpią nie rozbierając się, w obawie, ażeby im nie skradziono ubrania. Pozostały na wieczór chleb chowają w zanadrze i tak cały dzień z nim chodzą, bo inaczej skradzionoby. Wracając z roboty, człowiek taki nigdy nie jest pewny, czy jego kuferek stoi nietknięty na tapczanie, czy też rozbito go i zabrano cały zachowany w nim majątek.

Szpankę gnębią **Iwany**, trzymając pod grozą i obdzierając **chrapy**, znęcają nad nią **gracze**, okradają zgłodniałe **żygany**.

Szpanka boi się każdego, całe życie drży, bo w tych więzieniach, gdzie powinni „poprawiać się i odradzać” przestępcy, panuje gwałt, samowola **Iwanów**, nieograniczona władza silnego nad słabym, niepoprawnego łotra nad człowiekiem dobrym w gruncie²⁾).

Katorga i Oświęcim to różne historyczne i socjologiczne typy obozów. Nie szukajmy więc zbyt wielu analogii i nie ulegajmy formalnym podobieństwom. Wróćmy do Oświęcimia.

Ale i tu i tam bezkształtna masa układa się w jakiś **porządek społeczny**, oparty o jakąś hierarchię stanowisk i wartości i o jakiś faktyczny „samorząd”. I tu i tam społeczeństwo tworzy się w walce pomiędzy różnymi kategoriami

¹⁾ Skazani niewinnie.

²⁾ W. Doroszewicz: *Op. cit.* t. III, str. 5—17.

społecznymi: kryminalnymi i politycznymi; ci, co coś mają i najskrajniejsza nędza; jedni uprzywilejowani na tej lub innej podstawie i drudzy całkowicie zależni i poddający się w opuszczeniu i inne.

„Kiedy będziemy znali Oświęcim?” zapytuje w tytule swego artykułu H. Korytyński. W artykule tym czytamy:

„Tadeusz Borowski, młody utalentowany prozaik, asystent prof. Juliana Krzyżanowskiego na Uniwersytecie Warszawskim, był od wiosny 1943 roku więźniem oświęcimskim (w Birkenau). Ogłosił drukiem w Niemczech z dwoma towarzyszami tom wspomnień pt. *Byliśmy w Oświęcimiu*, a później wróciwszy do kraju opublikował w „*Twórczości*”, „*Odrodzeniu*”, „*Po prostu*” i w „*Żołnierzu Polskim*” fragmenty obozowe. Po za tym Borowski jest autorem głośnej i namiętnie atakowanej („ten paszkwilant”) recenzji z książki oświęcimskiej Zofii Kossak Szczuckiej, recenzji zaiste bezlitosnej.

O cóż chodzi krytykom Borowskiego, jakąż zbrodnię w swojej prozie oświęcimskiej i w owej recenzji popełnił?

Przyjrzyjmy się bliżej zarzutom p. Poszumskiego, jako typowym dla ignorancji i fałszywego hurramoralizatorstwa wielu ludzi, zabierających głos w sprawie Oświęcimia.

(Borowski) „zwykle po kolacji szedł na boisko i grywał w piłkę nożną. Któregoś dnia piłka potoczyła się do drutów, pobiegł po nią i spojrział na rampę kolejową. Widział kolumny ludzi, pędzonych wprost do komór gazowych. „Wybiłem piłkę i podałem na róg” — pisze autor „Między jednym a drugim kornerem za moimi plecami zagazowano trzy tysiące ludzi”. Piłka znów potoczyła się, podbiegł pod druty i dostrzegł, że cała rampa, do niedawna rojąca się od ludzi, była pusta, wagony odjechały, a ludzie szli dwiema drogami do krematorium i do fabryki”.

Ten streszczony przez p. Poszumskiego fragment oświęcimski Borowskiego wywołuje w naszym moralistcie oburzenie. Grał w piłkę nożną! W Oświęcimiu!

Tak, proszę pana grał i grało wielu jego kolegów, jeżeli tylko mieli okazję. Inni — m. in. autor tego artykułu, co wyznają z wielkim strachem — grali zaraz obok w siatkówkę, jeszcze inni grali w bridża, i grali na harmonii i pili wódkę. Jeżeli mogli, jeżeli mieli. Obok gazowano tysiące ludzi, obok ginęli z chorób, z wyczerpania, z bicia nasi koledzy. Jutro, pojutrze, za miesiąc mogliśmy tak samo, tą samą śmiercią zginąć, my — dziś grający w piłkę czy na harmonii. Graliśmy w bridża, ale dostawaliśmy także po mordzie i na d... (przepraszam wszystkich oświęcimskich moralistów), tak samo nie omijały nas wszy ani śmiertelna szraczka, (dysenteria, jeśli pan woli) ani Politische Abteilung, ani tyfus, ani flegmona.

Broniliśmy się. Między innymi grą w piłkę nożną i tym, że nie posypywaliśmy głowy popiołem, że nie rwaliśmy włosów z głowy w rozpacz nad każdym zmarłym czy zagazowanym kolegą. Tam, w Oświęcimiu, proszę pana, śmierć była chlebem codziennym i stos nagich trupów-szkieletów codziennym widokiem — nie starczyłoby ani popiołu, ani łez, ani sił na rozpacz i na współ-

czucie. Broniliśmy się i oszczędzaliśmy swoich sił m. in. także obojętnością na śmierć i grozę. W przeciwnym razie zwiariowalibyśmy i zginęli, proszę pana, i nie byłoby teraz oświęcimiaków, i nie miałby się pan na kogo oburzać...

Teraz pytanie najważniejsze, gdzie źródła tego, że obraz Oświęcimia, widziany oczyma czytelników, słuchaczy i nawet piszących, jest bądź niepełny, jednostronny — bądź fałszywy?

Przyczyna nie jest jedna.

1) To, że moment martyrologiczny wysunął się zdecydowanie na czoło w relacjach Oświęcimia — jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, ponieważ zbrodnia niemiecka i męczeństwo milionów więźniów dominuje we wspomnieniu obozowym, ponieważ istotnym celem Oświęcimia było wyniszczenie a istotnym rezultatem męczeństwo i śmierć. Oświęcimiaci piszący: Szmaglewska, Kossak-Szczucka, Żywulska, Kobyłecki, Rajewski i inni dali przede wszystkim wyraz temu, co najistotniejsze, zgodnie z hierarchią elementów oświęcimskich i zgodnie z tym, czego oczekiwano od nich społeczeństwo.

2) To, że żądano przede wszystkim potwierdzenia i udokumentowania zbrodni niemieckich, w dużym stopniu zaważyło na zawartości książek o Oświęcimiu. Przerazające, straszliwe wieści o martyrologii tego obozu, docierające podczas okupacji, trzeba było poświadczyć. Oświęcimiaci piszący poświadczyli je, pomijając inne elementy życia w Auschwitzu i w Birkenau.

3) — Nie ma takiego człowieka, któryby mógł powiedzieć całą prawdę o Oświęcimiu — to celne słowa premiera Cyrankiewicza, zeznającego jako świadek w procesie Hoessa. Nie dziw, że nie powiedzieli całej prawdy pierwsi autorzy-oświęcimiaci.

4) Działał tu jeszcze jeden czynnik natury psychologicznej i moralnej, w przeciwstawieniu do pierwszych — czynnik fałszywy i pora oczyścić z niego teren. Zarzucono wstydliwie zasłonę na te momenty życia oświęcimskiego, które nie były bezpośrednio zbrodnią hitlerowską, na to, co nie było morderstwem, znęcaniem się, głodem, chorobą. Wytworzyło się — twierdzą, że z gruntu fałszywe — przekonanie, iż obraz podziału klasowego społeczeństwa obozowego i walki o byt więźnia z więźniem, że obraz tzw. organizacji i innych elementów życia w Oświęcimiu będzie stanowił ujmę dla więźnia, a nawet może zmniejszy rozmiar zbrodni niemieckiej. Tymczasem łatwo udowodnić — ba, jest to niemal oczywiste — że wytworzenie się takich, a nie innych warunków społecznych i gospodarczych w obozie, że klimat moralny w Oświęcimiu, że deprawacja więźniów — to rezultat systemu, to jeszcze jedna zbrodnia hitlerowska w wymiarach etyki — zbrodnia najcięższa. To, że zdziczały z głodu człowiek staje się zwierzęciem i wycina pośladek dopiero co zmarłego towarzysza, aby zwierzęcy głód zaspokoić — jest przede wszystkim winą, jest zbrodnią twórcy warunków obozowych. „Nie tylko system stosowany przez wroga, był okrutny — okrutnym stał się człowiek, w systemie tym wychowany” — pisze poeta-oświęcimiak Stanisław Wygodzki. A któż za to okrucieństwo „człowieka” jest odpowiedzialny, jeśli nie ów „wróg” — siewca zbrodni? Kto jest winien temu, „że jedynym motorem w życiu człowieka

w obozie był tylko strach, taki zwierzęcy, upadający strach przed głodem i śmiercią"? (Gustaw Morcinek w piśmie „Wolni Ludzie”).

Te, moim zdaniem, były główne przyczyny, faktu, że gros książek i artykułów o Oświęcimiu, choć nie kłóca się z prawdą, dają obraz tylko części prawdy, obraz niepełny, nawet gdy — jak w książce Szmaglewskiej — pogłębiany i sugestywny.

Czytelnik i słuchacz wspomnień oświęcimskich swoje wobrażenie o obozie urabiał, rzecz prosta, na tych relacjach, jakie były...

Nie ma dotychczas historii Oświęcimia. Poza szkicem sędziego Jana Sehna (w pierwszym tomie biuletynu Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich), wzorowo wykonanym, ale już w założeniu ograniczającym się do niektórych tematów, nie mamy nic, co by zasługiwało na miano pracy naukowej. Wychodzą nadal książki i książeczki niekrytyczne i niepotrzebne, a nic nie słychać o źródłowej, krytycznej i pełnej historii Oświęcimia — takiej, by na zawsze została dokumentem dla swoich i dla obcych. Nikt nie pracuje nad socjologicznym i ekonomicznym studium o Oświęcimiu i obozach koncentracyjnych w ogóle.

A czas już najwyższy, bo właśnie czas zaciera w pamięci fakty, rozprasza dokumenty. Im później tym trudniej będzie o historię Oświęcimia — fragment dziejów człowieka, nie dający się porównać z niczym innym”).

* * *

Przeszliśmy do analizy społecznego systemu koncentracyjnych obozów — do socjologii obozów. Dyskusję zapoczątkował Tadeusz Borowski. On to zwrócił uwagę na to, że obóz był nie tylko miejscem kaźni, miejscem niszczenia ludzi, lecz także miejscem „normalnego” życia. Każdy obóz ma swój normalny system życia. Jest to system normalny nie dlatego, że można go akceptować z jakiegokolwiek moralnego i ludzkiego stanowiska. Bynajmniej, jest on normalny, ponieważ wytwarzają go normalni ludzie, którzy, pragnąc przeżyć obóz, jakoś normalizują swoje życie obozowe. Wytwarzają jego normy obliczone na zachowanie życia i na jakieś jego uregulowanie.

Walka z obłędem grożącym każdemu, ktoby nie wypracował sobie systemu ogłuchnięcia i oślepienia na okropności obozu. Psychika ludzka zamykała się na to wszystko, inaczej nie mogłaby wytrzymać. Trzeba było ogłuchnąć, oślepnąć, stępieć w egoizmie samozachowania. Albo trzeba było wypracować sobie jakiś system moralny, który z jednej strony dawał siłę wytrwania, a z drugiej uzasadniał jakoś tę ludzką męczarnię.

Większość zamykała się w sobie. Normalizowała swoje życie dla przetrwania. Ale czy od takiej normalizacji daleko było do tego, by wbrew cierpieniom i męce innych samemu sobie jakoś tam życie ułożyć? Czy daleko było do kompromisu z oprawcami, od współdziałania z nimi?

1) H. Korytyński: *Kiedy będziemy znali oświęcim*, „Odrodzenie” 24. VIII. 47 r. str. 2.

W każdym obozie istniała taka sfera normalnego życia. Nie tylko komory gazowe i krematoria. Albo raczej istniały różne sfery normalnego życia. Przypomnijmy sobie opis Zofii Kossak-Szczuckiej „Z otchłani”, przedstawiający zarząd bloku i cały system życia wytwarzający się przy tym zarządzie.

„W każdym bloku — czytamy — frontowa część tuż przy wyjściu zajęta była przez mieszkania zarządu. Po obu stronach szerokiego przejścia, wznosiły się porządnie zbudowane z desek dwa pokoiki, opatrzone sufitem (w bloku dach leżał na nagich więzaniach) i szamotowymi piecykami. W pokojkach tych było rozkosznie ciepło. Mieszkała tam blokowa, jej zastępczyni, czyli fertreterka, sekretarka-szreiberka, kapo lub arbeiterka. Wnętrza pokojków przenosiły w inny świat. Nigdzie nie ujrzałeś takiego nagromadzenia kobiecych fatalaszków, serwetek, serweteczek, poduszek, firaneczek, zasłonek, półtecek, figurek, pluszowych piesków, lalek, pudełeczek i wszelkich figlaśków, stanowiących marzenie podlotka. Barwy były z reguły różowe, rzadziej niebieskie, lub liliowe, zawsze wiośniane, czułe, delikatne. Czym okropniejszą była rzeczywistość otaczająca, tym usilniej mieszkanki pokojków wyżywały się w różowych cackach, tym staranniej zasłaniały okno wychodzące na blok (innego nie było) firaneczkami pełnymi różowych kokardek.

Rzecz prosta, häftlingi nie miały wstępu do tych ciepłych rajów. Wdychały tylko z daleka rozkoszne zapachy przysmaków, smażonych na szamotowych piecykach. Wnętrze różowego gniazda oglądały, gdy blokowa wezwała którą, by jej nawymyślać. Wtedy na progu stawało widmo brzydkie, brudne i nie śmiąc stąpając zabłoconymi drewniakami na puszysty dywan zaścielający podłogę komnatki, w służbowej pozycji słuchało cierpliwie gradu słów, zazwyczaj okraszonych pogębkiem. Stojąc i słuchając patrzyło...

Do każdego pokoiku przydzielona była służąca, a raczej niewolnica wybrana z häftlingów. Do niej należało gotowanie dla blokowej, sprzątanie, palenie w piecu, ściąganie butów władczyni, czolobitne oddawanie wszelkich usług, oraz staranie się o produkty. Tak!... Służąca była obowiązana poniekąd utrzymywać blokową. Jeżeli otrzymywała paczki, oddawała z paczek co najlepsze, jeżeli paczek nie miała, musiała „organizować”... Nie dosyć na tym. Ponoсила ryzyko. Zasadniczo bowiem zarówno blokowym, jak häftlingom, nie wolno było nic gotować. Zakaz był ostry i surowo przestrzegany. Jadło lagrowe powinno wystarczyć każdej więźniarce, a wszakże wszystkie władze obozowe, to były więźniarki, losem szczęścia lub własną przemyślnością na wyższe stanowisko wyniesione.

Każdej chwili mogły to stanowisko utracić. Nie rzadkie były wypadki, że w ciągu jednej godziny blokowa znajdowała się w Eska. Tą nieustającą obawą tłumaczył się poniekąd ich powolny dyrektywom niemieckim stosunek do häftlingów.

Dość, że niewolnica gotowała, lub smażyła dla blokowej i jej sztabu, wiedząc, że jeśli wypadkiem zostanie przy tej czynności nakrytą!!! blokowa całą winę zwali na nią. Oskarży ją bez wahania o gotowanie, a siebie tylko o brak dozoru. Ona, niewolnica będzie odpowiadać, nie pani.

W zamian za to otrzymywała resztki jedzenia, spędzała pewną część dnia w ciepłym pokoiku i nie chodziła do pracy „nach aussen” czyli poza lagier. Stawała się przy tym na bloku ważną figurą, z którą każdy się liczył. Miała prawo wstępu do różowego przybytku i od niej zależało, czy w czasie nieobecności blokowej zagrzeje koleżankom wody na piecyku, czy nie. Niewolnica posiadała z kolei swoją niewolnicę do pomocy. Podawała jej rozkazującym gestem wiadro do wyniesienia i bieliznę blokowej do prania. Od czasu do czasu obdarzała ją kawałkiem chleba. Niewolnica niewolnicy drżała o swoją posadę więcej niż minister o tekę, gdyż dzięki niej również nie chodziła w pole. Pracowała w „essenkolonii” przynoszącej zupę, lub była „koleholką”, noszącą węgiel. I oto już były dwie uratowane, które mogły przeżyć. Ale za cenę iluż upokorzeń!....

Obok pokoiku blokowej znajdowała się komórka „brotkamera”. Tam składano przynoszone z magazynu: chleb, margarynę, marmoladę i paczki. Tu odbywało się ostatnie okradanie häftlingów. Drabina zaczynała się od szczytu, a brotkamera stanowiła najniższy jej etap. Na papierze bowiem häftlingi były wcale dobre żywione. Do lagru przywożono znaczne ilości mięsa, tłuszczu, jarzyn, cukru, kaszy. Wszystko to jednak było rozkradane systematycznie, dzielone na pół przez wszystkie ręce, mające jakikolwiek kontakt z żywnością. Od komendanta obozu do kucharek kradli wszyscy, aż dla häftlinga zostawała tylko brukiew, chleb i margaryna lub marmolada. I z tego jeszcze blokowa odciągała swój podatek! Każda więźniarka wiedziała, a niejednokrotnie widziała, gdyż władze nie ukrywały się z tym wcale — że z kilowego bochenka chleba, mającego być podzielonym na cztery części, odkrawa się piątą część „na organizację”. Wskutek tego każdy häftling zamiast ćwierć kilo dostawał 20 dkg chleba. Nawet z każdej maleńkiej kostki margaryny odcinano paseczek dla blokowej! Od trzystu häftlingów, każdemu ujmując jedno deko, blokowe i jej sztab otrzymywały trzy kilo tłuszczu, za który mogły sobie kupić... Ho! Ho!.. Czego one nie mogły sobie kupić!! Wysokie buty, aksamitną wizytową suknię, sportowy kostium, jedwabną bluzkę... Mają wprawdzie tych łachów mnóstwo, ale zawsze rade by mieć więcej... To okradanie głodomorów stosowane było nagminnie prawie na wszystkich blokach. Ze wzruszeniem i podziwem mówiono o nielicznych blokowych, które tego proceduru nie uprawiały. Mogły kraść a nie kradły. Czyż to nie nadzwyczajne?”¹⁾

* * *

Nie wszyscy wytrzymywali obóz psychicznie, nawet wtedy, gdy go wytrzymywali fizycznie. Nie wszyscy potrafili znormalizować swoje życie w obozie. Ci którzy tego nie potrafili, ci „szli na druty” naładowane elektrycznością, otaczające obóz dokoła i umożliwiające odejście tym, którym nie wystarczało już wytrzymałości.

Kto byli ci ludzie, którzy wybierali śmierć na drutach? Czy znowu mamy tu do czynienia z całkowitą przypadkowością indywidualnych typów, czy

¹⁾ Z. Kossak-Szczucka: *Z otchłani*, str. 47—50.

też psycho-socjologicznym mechanizmem o określonej prawidłowości. Na ten temat wywiązała się dyskusja z powodu dokumentarnego filmu o Oświęcimiu „Ostatni etap”.

We „Wsi” czytamy: „Zagadnienie jest bardzo skomplikowane, bo spójrzmy: niewątpliwie, protestem przeciwko nieludzkiej rzeczywistości obozowej było „pójście na druty”, czy wpędzał na nie strach przed głodem, czy obraz człowieka konającego w błocie, czy odraza narzucająca się mimowoli do ubabranego własnym kałem współwzięnia, czy pragnienie uchylenia się na tej drodze od maltretowania ze strony „capo” czy blokowego, a może właśnie **chęć uprzedzenia dostrzeżonego w sobie rozkładu człowieka?** Są to motywy wewnętrzne działania i jest ich obiektywny rezultat: — rezygnacja z życia jako protest przeciwko systemowi, a równocześnie zachowanie się, postulowane przez tenże system — unicestwienie się, samowykreślenie z listy wrogów porządku hitlerowskiego. Faktem jest, że na druty szli masowo żydzi belgijscy i holenderscy, ale nie dlatego, że reprezentowali określony naród, ale że byli członkami bogatej inteligencji mieszczańskiej, żyjącej w strukturze liberalizmu; faktem jest również, że nie było wypadku pójścia na druty wśród więźniów, rekrutujących się z żołnierzy Armii Radzieckiej czy partyzantki Titowej.

Ocena faktu pójścia na druty będzie tak długo sporna, dopóki nie przeprowadzimy jej z punktu widzenia określonych systemów. Moralność, jaką wypracował system liberalistyczny, dozwalała człowiekowi swobodnie rozporządzać własną osobą; w tym systemie moralnym, stworzonym przez mieszczaństwo kapitalistyczne, bankrut nie mogący wywiązać się ze swych zobowiązań mógł wyjść z tej sytuacji z honorem, kończąc z własnym życiem. Inaczej na dobrowolną rezygnację z życia spojrzy człowiek, ujmujący jednostkę ludzką zawsze w **kontekście społecznym**. Więzień posługujący się systemem ocen, ujmujących człowieka w jego funkcji społecznej, mimo, że będzie wyrwany z dawniejszej przedobozowej grupy, nigdy nie przestanie odczuwać więzi łączącej go z tą grupą — przeciwnie w nowej sytuacji będzie jeszcze bardziej wzmacniał w sobie świadomość, że jest członkiem narodu, który pozostaje w walce z faszyzmem, jeśli był członkiem walczącej armii czy ruchu oporu; nie zapomni on o tym, że w życiu przedobozowym reprezentował cenne dla swojej grupy wartości, będzie on stał na stanowisku, że te wartości są nadal własnością grupy, z której wróg go wyrwał.”

„Trzymanie się tego systemu — czytamy dalej — stwarzało dla więźnia najmocniejsze bodźce do przetrwania, kazało mu w nowych obozowych warunkach wypracować takie normy postępowania, które by całej grupie obozowej zapewniały jak najdalej idącą możliwość obrony.

Ten nowy kodeks pozwalał na znoszenie upokorzeń. Inna rzecz, że nie zawsze występował on w czystej postaci, jego wyznawców obciążały często i tradycje indywidualistycznej (systemu liberalnego) moralności, gdzie pojęcie honoru, godności ludzkiej, przekazywane nam z feudalnymi tradycjami europejskimi, narzucały się więźniowi z nieodpartą siłą. Życie obozowe dostarczyło wielu przykładów załamywania się „systemu obronnego”, zdeterminowanego postawą społeczną przez atakujące często człowieka obozu normy personali-

stycznego odczuwania i reagowania. Wtedy dochodziło do katastrofy. Dwa takie momenty pokazuje nam film. Mam tu na myśli epizod z Eugenią w trakcie inspekcji obozu przez komisję „międzynarodową” i epizod z partyzantką Dessą na rannym apelu z Lagerführerem. O ile w wypadku Eugenii można by jeszcze dyskutować czy jej głośny protest przeciwko kłamstwu był buntem spontanicznym, czy świadomą akcją, podjętą w interesie całego obozu, o tyle w wypadku Dessy należy stwierdzić wyraźne załamanie się społecznego systemu obrony na rzecz systemu personalistycznego. Dessą, więzień obozu koncentracyjnego, odmawia wykonania upokarzającego rozkazu, odmawia jako człowiek, który był oficerem partyzanckim; ginie, wypełniając tradycyjny schemat: „Raczej śmierć niż upokorzenie”.

Eugenia i Dessą należą do najwartościowszych jednostek grupy obozowej, spełniają ważną rolę, ich śmierć zmniejsza poważnie zdolność obronną grupy; równocześnie Związek Radziecki traci wybitną prawdopodobnie lekarzkę, Jugosławia przyszłą organizatorkę „Omladiny Titowej”, rachunek wyraźnie układa się na korzyść „panów obozu”.

Rzecz prosta, że nie robię tu zarzutu reżyserce filmu, że Dessą wybrała śmierć, zgłaszam tylko wątpliwość, czy należy epizod ten traktować jako moment zwycięski w walce obozu, czy raczej jako moment klęski, wynikającej z pomieszania dwóch wspomnianych systemów.

Bo widz może odnieść wrażenie, że zachowanie się Eugenii czy Dessy ma być typowe dla grupy, którą one reprezentują. A przecież sprawa wygląda inaczej. Grupa Dessy i Eugenii stanowi w zróżniczkowanej społeczności obozowej ośrodek mobilizujący więźniów do walki z faszystowskim systemem niszczenia człowieka. Zdobywa ona wewnętrzną siłę właśnie dlatego, że w postępowaniu swoim kieruje się normami moralności komunistycznej, która pozwala na wypracowanie przez grupę obozową warunków moralnych do przetrwania. Stąd zupełnie nieuzasadnione w linii ideologicznej filmu było pokazanie Eugenii, a zwłaszcza Dessy, w wymienionych epizodach, jako ludzi reagujących według norm drugiego skrzydła więźniów, tych z kultury liberalno-mieszczańskiej, inteligencko-klerkowskiej, narodowo-drobnomieszczańskiej i religijno-opatrnościowej”. („Wies” z dnia 25 kwietnia 1948 r., str. 3).

Zagadnienie jest chyba bardziej skomplikowane. Ten znak równania postawiony przez autora tej wypowiedzi pomiędzy kulturą liberalno-mieszczańską, inteligencko-klerkowską, narodowo-drobnomieszczańską i religijno-opatrnościową załatwia się zbyt bezceremonialnie z problematyką społeczno-moralną bardzo złożoną. Adolf Rudnicki pisze:

„Podczas wielkich mordów latem 1942 a także i później inteligencja zorientowawszy się, że nie ma dla niej ratunku, truła się masowo. Natomiast nie zanotowano ani jednego wypadku samobójstwa wśród ludzi wierzących. W Treblince wchodzili do komór gazowych wołając: „Błogosławiony mąż który...” (Mowa o Żydach ortodoksach¹).

¹) Adolf Rudnicki: *Wniebowstąpienie* w książce *Szekspir* druk w „Kuźnicy” z dnia 29 marca — 5 kwietnia 1948 r., str. 16.

Ten sam autor pisze na innym miejscu: „Ludzie umierali w katowniach, konali w tysiączny sposób: ich niemym testamentem, ich ostatnią nadzieją była ta, że słowo będzie im poświęcone. Skatowany więzień, który umierał nie wydawszy towarzyszy, wierzył, iż żyje serce w narodzie, że są oczy w narodzie, które go widzą. Bez wiary w te oczy, w te uszy, w to serce nie byłoby może bohaterstwa. Wierzyli w nie zarówno ci, którzy szli z granatem na ulicę, by mścić, jak ci, którzy w obozach dogorywali z głodu trzeźwo i długo. W dniach najcięższej klęski narodowej i osobistej człowiek jasno pojmował sens sumienia, sumienia pisarza”¹⁾.

Przeciwieństwem tego wyznania jest inne wyznanie ze „Śmierci liberała”. „Zrozumiałem wówczas — czytamy — w czym leży śmieszność mojej sytuacji: w jej bezideowości. Walczyłem tylko o własne życie. Niemcy, nie stawiając nam żadnych konkretnych zarzutów, pozbawili nas tym samym — z diabelską perfidią — godności cierpienia. Męczeństwo nasze było bezsensowne. Dziwili się ludzie, żeśmy szli na śmierć — masowo, potulnie, jak baranki. Ale w imię czego mieliśmy się buntować? Narażać swe życie może tylko ten, kto walczy o coś więcej niż o życie. Umierać dla uniknięcia śmierci, to — przyznacie — nie daje najmniejszego sensu. A już ja szczególnie... Za co ginąłem? Za wiarę, której nie wyznawałem? Za narodowość, do której się nie poczuwałem? Za bzdurę ginąłem, ot co! **Nie było kompozycji w moim życiu**, no, bo i skąd tu kompozycja?”²⁾.

Pomiędzy tymi dwoma wyznaniem zamyka się głębsza problematyka psychologiczna „społeczeństwa” Oświęcimia, jak i getta żydowskiego. Nie tylko chęć zachowania się przy życiu kształtuje dynamikę tego społeczeństwa, lecz także walka z grożącym ciągle niebezpieczeństwem unicestwienia społecznego i moralnego. Czyha tu na jednostkę groźba absolutnej samotności wśród masy więźniów, co do których nie wiadomo, na ile ludzkiego zaufania zasługują i czy w ogóle na nie zasługują. Potrzeba ludzkiego współobcowania staje się nieodłączna od odczuwania własnej moralnej istoty i moralnej tożsamości.

Ten moment odgrywa również ogromną rolę w tendencji do jakiegoś znormalizowania życia obozowego. Ten moment również tłumaczy niejedyn rys zachowania się „lagowców”, które na pozór wydaje się niezrozumiałe lub zgoła dziwaczne.

„Poczucie własnej odrębności niknie i ztraca się coraz bardziej. Zdawać się może, że wraz z ostatnim drobiazgiem osobistym, który tu przepadł w odwieszeniu, zginął widomy znak tożsamości, zginęła możliwość udowodnienia sobie w chwilach zwątpienia, że się jest jednak tym samym człowiekiem jakim się było. Tamten człowiek odszedł. Pozostał nędzarz. Pozostał człowiek nagi, nie posiadający nic, odziewający skwapliwie mimo wstrętu swe zziębłe ciało w czyjąś przeproconą odzież.”³⁾.

¹⁾ A. Rudnicki: *Szekspir, cyt według K. Wyki: Funkcja solidarnej pamięci*, „Nowiny Literackie” z 20 VI. 1948 r. str. 1.

²⁾ Artur Sandauer: *Śmierć liberała*, str. 98.

³⁾ S. Szmaglewska: *Dymy nad Birkenau*, str. 70.

„Gdy z krakowskiego więzienia Montelupich — czytamy w innych wspomnieniach — przywieziono mnie do obozu w Ravensbrück, miałam już za sobą niezły rejestr doświadczeń. Wiedziałam już, co to znaczy być bitą i morzoną głodem i co to znaczy przesiedzieć sześć tygodni w zupełnej ciemności w celi pozbawionej dopływu powietrza, w czasie największych lipcowych i sierpniowych upałów. Najgorsze przeżyłam jednak dopiero po przybyciu do koncentracyjnego obozu. Póki żyć będę, nie zapomnę tego uczucia upokorzenia jakie człowieka ogarnia, gdy z jednostki myślącej i czującej, żyjącej swoim indywidualnym życiem, zostaje zredukowany do roli członka stada. W więzieniu cierpienie miało charakter indywidualny; człowiek nawet maltretowany był jeszcze kimś, jednostką budzącą współczucie, mogącą sobie zasłużyć na szacunek nie tylko współtowarzyszy, lecz nieraz i prześladowców. W obozie stawał się niczym: pasiakiem zagubionym w szarej masie niewolników, podległym regulaminowi, który nie pominął żadnego szczegółu mogącego poniżyć człowieka zarówno we własnych jak i w cudzych oczach... Niemcy celowo stosowali we wszystkich podbitych krajach wszelkiego rodzaju „masówki” właśnie po to, ażeby zapobiec nawiązaniu jakiegokolwiek indywidualnego kontaktu człowieka z człowiekiem.”¹⁾

Jakże zachować własną tożsamość w tym społeczeństwie, w którym wszystkie reguły przyzwoitego liberalno-mieszczańskiego społeczeństwa nie tylko zawodzą, lecz stają się jak najgorszymi drogowskazami życia. W „Śmierci liberała”, Sandauera, poczucie praworządności — cnota liberalno-mieszczańska prowadzi dr Kirsche, prezesa Rady Gminy Żydowskiej do współpracy z Niemcami. Czy w społeczeństwie zbrodniarzy można zostać „porządnym” człowiekiem, posługując się zasadami szanującego się liberalnego mieszczaństwa? Ile „nonsensowności” i dziwaczności musi być w zachowaniu się ludzi w takich warunkach?

Żyd z Lublina przeznaczony do gazu zabiera swoją paczkę ze sobą. Widok ten staje się tematem rozmowy dwóch innych więźniów, z których jeden jest lekarzem Żydem.

„Przecież wie doskonale stary lagrowiec, że za godzinę czy dwie pójdzie do gazu nagi, bez koszuli i bez paczki. Co za niesamowite przywiązanie do resztki własności. Mógłby przecież oddać innemu. Nie wierzę żebym ja..

— Myślisz naprawdę tak? — zapytał obojętnie Doctor. Zdjął rękę z moich pleców i ruszał szczęką jakby wysysał językiem dziurawy ząb.

— Proszę wybaczyć, Doctor, ale nie sądzę żeby pan — rzekłem mimochodem.

Doctor pochodził z Berlina, miał córkę i żonę w Argentynie i mówił niekiedy o sobie „wir Preussen” — z uśmiechem, w którym bolesna gorycz Żyda mieszała się z dumą byłego pruskiego oficera.

— Ja nie wiem. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym poszedł do gazu. Pewnie także wziąłbym ze sobą swoją paczkę.

¹⁾ Eugenia Kocwa: *Proces Forstera*. „Tygodnik Powszechny” z dnia 27. VI. 1948, str. 8.

²⁾ Eugenia Kocwa: *Zło anonimowe*. „Tygodnik Powszechny” z dnia 25 lipca 1948 r. str. 9.

Obrócił się do mnie i żartobliwie się uśmiechnął. Zobaczyłem, że był bardzo zmęczony i niewyspany.

— Myślę, że nawet gdybym jechał do komina, to z pewnością wierzyłbym, że po drodze coś się stanie. **Trzymałbym paczkę jak cudzą rękę**, wiesz?"¹⁾

„Świat nie zna więcej miejsc jak to. To nie tylko były fabryki śmierci. Krematoria — gdy już pięć krematoriów razem kurzyło — spalały dziennie około 20.000 osób. — Ale podaż ludzkich istot na spalenie przeznaczonych była jeszcze większa. Więc wywłaszczono domki w lesie, uszczelniono je i wykorzystano jako komory gazowe. Ludzi tam uduszonych palono w lesie na polanie w tzw. „dołach śmierci”. — Ale coś jeszcze gorszego, coś straszliwszego. To były wielkie fabryki odczłowieczania. Barak-kloaka jest tu zabytkiem najwymowniejszym, najbardziej symbolicznym. Z człowieka pozostać miała sama tylko nędza ludzka. Jesteśmy na miejscu, gdzie dokonano gigantycznego eksperymentu odczłowieczenia człowieka.”²⁾

ZYCIE DUCHOWE „WYŁĄCZONE” — „STARE I NOWE”

przez Józefa Chałasińskiego (Łódź)

Oświęcim, Majdanek — w ogóle koncentracyjny obóz — to tylko część socjologicznego problemu Polski z czasów okupacji niemieckiej. Socjotechnikę obozu koncentracyjnego stosowali Niemcy do całego kraju, nie tylko do obozów. Rozrywanie wszelkich węzłów solidarności społecznej i moralnej, wyłączenie jednostki ludzkiej z normalnego funkcjonowania w obrębie wspólnoty społeczno-moralnej stanowiło podstawowy kierunek polityki niemieckiej w stosunku do narodu polskiego.

K. Wyka w interesującym artykule *Gospodarka wyłączona* („Twórczość”, sierpień 1945) pisał o gospodarczych stosunkach Generalnej Gubernii: „Powstał system gospodarki, która pewnymi funkcjami została włączona w obojętne jej i obce ciało, a innymi zawisła w powietrzu, wyłączona od wszelkiej zależności społecznej. Zawisła tak w powietrzu przede wszystkim naturalna zapobiegliwość gospodarcza człowieka, troska o byt codzienny, jednym słowem poniecane zostały lekceważeniem najprostsze psychologiczne motory życia gospodarczego. Mieszkaniec Generalnego Gubernatorstwa dostrzegając, że okupant w niczym się o niego nie troszczy, uważał się ze swej strony — i słusznie! — za zwolnionego od uczestnictwa moralnego w narzucenym mu planie zbiorowym. A ponieważ był aktywny i zapobiegliwy, miał co wyłączyć. Dzięki temu w postawie społeczeństwa wobec własnych działań gospodarczych utrwaliło się przekonanie, że są one niezależne, na uboczu i dla siebie, że tutaj wolno i należy robić co się chce. Niemoralność pracy była nawet obowiązkiem patriotycznym. Taką drogą w psychologii społeczeństwa powstał konglomerat, który uważamy za centralne zjawisko psycho-

¹⁾ Tadeusz Borowski: *Kamienny świat*. „Nowiny Literackie” z dnia 6 czerwca 1948 r. str. 5.

²⁾ Stanisław Stomma: *Problem Oświęcimia*, „Tygodnik Powszechny” z dnia 6 lipca 1947 r. str. 3.